**Załącznik 2.**

**Ray Bradbury**

***Milczące miasta***

**Fragment 1.**

Na brzegu martwego marsjańskiego morza wznosiło się białe milczące miasteczko. Było puste. Nic się w nim nie poruszało. Samotne światła całymi dniami płonęły w oknach. Drzwi sklepów stały otworem, jakby ludzie wybiegli, nie używając kluczy. Pisma, miesiąc wcześniej sprowadzone z Ziemi srebrnymi rakietami, łopotały nietknięte na milczących stojakach przed drogeriami, zbrązowiałe od słońca.

Miasto było martwe. Jego puste łóżka już dawno ostygły. Jedynym dźwiękiem pozostawał pomruk linii elektrycznych i dynam, które nadal jeszcze działały. Woda spływała do zapomnianych wanien, przelewała się do salonów, na werandy i ściekała po grządkach, zasilając zapomniane kwiaty. W ciemnych kinach guma do żucia przylepiona pod krzesłami zaczęła twardnieć, na zawsze utrwalając odciski zębów.

Niedaleko miasta znajdował się port kosmiczny. W miejscu gdzie ostatnia rakieta wystrzeliła w niebo, w powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny. Gdyby wrzucić monetę do teleskopu i wycelować go w Ziemię, być może dałoby się zobaczyć toczącą się tam wielką wojnę, dojrzeć wybuch, niszczący Nowy Jork, i Londyn okryty nowym całunem mgły. Może wówczas dałoby się pojąć, czemu to małe marsjańskie miasteczko zostało porzucone. Jak szybko odbyła się ewakuacja? Wystarczy wejść do któregokolwiek sklepu i nacisnąć przycisk „Zwrot gotówki”. Szufladki kasy otworzą się ze szczękiem, pełne jasnych, brzęczących monet. Wojna na Ziemi musiała być bardzo ciężka...

Pustymi ulicami miasteczka, pogwizdując pod nosem, całkowicie skupiony na kopaniu przed sobą pustej puszki, wędrował wysoki, szczupły mężczyzna. W jego oczach zalegał mrok samotności. Co chwila wsuwał kościste ręce do kieszeni, pobrzękując nowymi dziesiątakami. Od czasu do czasu rzucał monetę na ziemię, śmiał się do siebie powściągliwie i szedł dalej, rozsypując wokół błyszczące miedziaki.

Nazywał się Walter Gripp. Mieszkał daleko na błękitnych marsjańskich wzgórzach, w chacie wzniesionej obok bogatego złoża. Co dwa tygodnie przychodził do miasteczka w nadziei, że spotka w końcu spokojną i mądrą kobietę, którą mógłby poślubić. Przez lata wracał do swej chaty samotny i zawiedziony. Tydzień temu, przybywszy do miasta, odkrył, że jest puste.

Tego dnia zdumiał się tak bardzo, że pobiegł do baru, otworzył szeroko zaplecze i zamówił potrójną kanapkę z wołowiną.

- Jedną chwilkę! – wykrzyknął ze ściereczką na ramieniu.

Zgrabnie pokroił zimne mięso i wczorajszy chleb, odkurzył stolik, zaprosił sam siebie na miejsce i zaczął jeść, póki nie poczuł takiego pragnienia, że musiał poszukać sklepiku z napojami, gdzie zamówił wodę sodową. Sklepikarz, niejaki Walter Gripp, był zdumiewająco uprzejmy. Przygotował nawet syfon specjalnie dla niego!

Napchał kieszenie pieniędzmi, wszystkimi, które tylko mógł znaleźć. Załadował dziecięcy wózek dziesięciodolarówkami i popędził naprzód. Dotarłszy do przedmieść uświadomił sobie nagle, jak okropnie niemądrze się zachowuje. Przecież nie potrzebował pieniędzy. Odniósł banknoty tam, skąd je zabrał, z własnego portfela odliczył dolara, by zapłacić za kanapki, wrzucił go do kasy baru i dodał ćwiartkę napiwku.

Tego wieczoru uraczył się gorącą kąpielą w tureckiej łaźni, soczystym filetem z pachnącymi grzybami, importowaną wytrawną sherry i truskawkami w winnej zalewie. Dobrał też sobie nowy garnitur z błękitnej flaneli i szary kapelusz, który siedział na jego wąskiej głowie pod osobliwym kątem. Wsunął pieniądze do szafy grającej i wybrał „Naszą starą paczkę”. Powrzucał miedziaki do dwudziestu szaf w całym mieście. Samotne nocne ulice rozbrzmiewały smutną melodią „Naszej starej paczki”, podczas gdy on, wysoki, szczupły i samotny, wędrował wokół bez celu. Jego nowe buty uderzały lekko o ziemię, zmarznięte ręce tkwiły w kieszeniach.

Od tego dnia minął tydzień. Walter sypiał w przytulnym domu na Mars Avenue, wstawał co rano o dziewiątej, brał kąpiel i wędrował do miasta na porcję jajek na szynce. Każdego ranka zamrażał tonę mięsa, warzyw i cytrynowych kremówek – dostatecznie dużo, by starczyło na dziesięć lat, póki z Ziemi nie wrócą rakiety. Jeśli w ogóle przylecą.

Tego wieczoru wałęsał się bez celu, oglądając stojące na barwnych wystawach woskowe kobiety, piękne i różowe. Po raz pierwszy zrozumiał, jak martwe jest miasto. Nalał sobie kufel piwa i zapłakał.

- Boże – westchnął. – Jestem zupełnie sam.

Wszedł do kina „Elita”, aby puścić sobie film, oderwać myśli od własnej izolacji. Kino było puste i głuche niczym grób. Po wielkim ekranie pełzały szaroczarne widma. Drżąc cały, umknął pospiesznie z nawiedzonego miejsca.

Uznawszy, że czas wracać do domu, maszerował dziarsko środkiem bocznej uliczki, gdy nagle usłyszał dzwonek telefonu.

Zaczął nasłuchiwać.

- Telefon.

Ruszył naprzód, energicznie stawiając kroki.

- Ktoś powinien odebrać – zastanawiał się. Z roztargnieniem usiadł na krawężniku, aby wytrząsnąć z buta kamyk.

- Ktoś! – krzyknął, zrywając się na równe nogi. - Ja! Mój Boże, co się ze mną dzieje? – wrzasnął, zawracając na pięcie. - Który to dom? Ten!

Popędził przez trawnik, po schodkach do domu, w głąb mrocznego przedsionka.

Szarpnął słuchawkę.

**Fragment 2.**

- Halo! – krzyknął. Buuuuuu.

- Halo! Słucham! Rozmówca już się rozłączył.

- Halo! – ryknął, odrzucając telefon.

- Ty idioto! – krzyknął do siebie. – Siedziałeś jak kretyn na krawężniku! Ty przeklęty durniu! – Ścisnął rękami telefon. – No dalej, zadzwoń jeszcze! Dalej!

Nigdy nie sądził, że na Marsie mógł zostać ktoś jeszcze. Przez cały tydzień nie widział nikogo. Uznał, że wszystkie inne miasta były równie puste jak to.

Teraz, wpatrując się w straszliwy czarny telefon, zadrżał. Wszystkie osady na Marsie miały wspólny system łączności, ale z którego z trzydziestu miast dzwoniono?

Nie wiedział.

Czekał. Przeszedł do obcej kuchni, rozmroził porcję czarnych jagód i zjadł je, niepocieszony.

- Po drugiej stronie nie było nikogo – mruknął. – Może gdzieś po drodze złamał się słup i telefon zadzwonił sam z siebie?

Ale czyż nie usłyszał szczęku, co oznaczało, że ktoś w dali odłożył słuchawkę?

Resztę nocy spędził w przedsionku.

- Nie z powodu telefonu – upierał się. – Po prostu nie mam nic lepszego do roboty.

Słuchał cichego tykania zegarka.

- Ona już nie zadzwoni – rzekł. – Nie wykręci ponownie numeru, który nie odpowiedział. Zapewne w tej chwili sprawdza inne domy w miasteczku, a ja siedzę tutaj. Chwileczkę! Czemu właściwie mówię „ona”?

Zamrugał.

- Równie dobrze to mógłby być on.

Jego serce zaczęło bić coraz wolniej. Ogarnął go chłód; czuł w sobie przejmującą pustkę.

Bardzo pragnął, aby to była ona.

Wyszedł z domu i stanął pośrodku ulicy, skąpanej w mętnym blasku przedświtu.

Nasłuchiwał. Nic. Żadnych ptaków ani samochodów, jedynie bicie jego serca. Uderzenie, przerwa i znów. Twarz miał tak napiętą, że aż bolała. Wiatr dmuchał łagodnie, tak bardzo łagodnie, poruszając jego płaszczem.

- Ciiii – szepnął. – Słuchaj.

Obracał się powoli, przenosząc wzrok z jednego milczącego domu na następny.

Będzie dzwoniła pod kolejne numery, pomyślał. To musi być kobieta. Dlaczego? Tylko kobieta mogłaby wpaść na taki pomysł z telefonem. Nie mężczyzna. Mężczyźni są niezależni. Czyja do kogokolwiek dzwoniłem? Nie! Nawet o tym nie pomyślałem. To musi być kobieta. Musi, na Boga!

Słuchaj.

W oddali, pod gwiazdami, zadzwonił telefon.

**Fragment 3.**

Walter pobiegł. Zatrzymał się, nasłuchując. Dzwonek zaterkotał cicho. Mężczyzna znów przebiegł parę kroków. Głośniej! Popędził alejką. Jeszcze głośniej! Minął sześć domów, kolejnych sześć. Znacznie głośniej! Wybrał kamienicę – i odkrył, że drzwi są zamknięte.

Telefon w środku dzwonił.

- Niech cię diabli! – szarpnął gałkę.

Aparat krzyczał.

Cisnął stojącym na werandzie krzesłem w okno salonu i wskoczył do środka.

Zanim dotarł do stolika, telefon umilkł.

Wówczas Walter wpadł w szał. Zaczął rozbijać zwierciadła, zdzierać zasłony, kopać zimną kuchenkę.

Wreszcie wyczerpany podniósł cienki spis wszystkich telefonów na Marsie. Pięćdziesiąt tysięcy numerów.

Zaczął od pierwszego.

Amelia Ames. Wybrał numer w Nowym Chicago, sto mil dalej, po drugiej stronie martwego morza.

Nikt nie odpowiedział.

Numer dwa mieszkał w Nowym Nowym Jorku, pięć tysięcy mil za błękitnymi górami.

Brak odpowiedzi.

Wykręcił trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem numerów. Jego palce drżały tak mocno, że nie mógł utrzymać słuchawki.

- Halo? – odezwał się kobiecy głos. Walter krzyknął gwałtownie:

- Halo? O Boże, halo!

- Tu automatyczna sekretarka – recytował głos w słuchawce. – Panny Helen Arasumian nie ma w domu. Proszę nagrać wiadomość na taśmę, by mogła odpowiedzieć, gdy wróci. Halo? Tu automatyczna sekretarka. Panny Helen Arasumian nie ma w domu. Proszę nagrać wiadomość...

Odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedział bez ruchu, jego wargi drżały.

Po namyśle raz jeszcze wybrał ten sam numer.

- Kiedy panna Helen Arasumian wróci – rzekł – powiedz jej, żeby poszła do diabła.

\* \* \*

Dzwonił do central w Mars Junction, Nowej Arkadii i Roosevelt City, uznawszy, że logicznie rzec biorąc, ktoś, kto chciałby dzwonić, powinien pójść właśnie tam. Potem zaczął wybierać numery ratuszy i innych instytucji publicznych. Wydzwaniał do najlepszych hoteli. Kobieta na pewno zechce zamieszkać w luksusie.

Nagle zamarł, klasnął głośno i roześmiał się. Oczywiście! Zajrzał do spisu i wykręcił numer największego salonu kosmetycznego w Nowym Texas City. Jeśli istniało miejsce, gdzie kobieta zatrzyma się na dłużej, nakładając na twarz maseczki z błota i siedząc pod suszarką, z pewnością był to lśniący jak klejnot, aksamitnie miękki salon piękności.

Telefon zadzwonił. Ktoś z drugiej strony podniósł słuchawkę.

**Fragment 4.**

Kobiecy głos rzekł:

- Halo?

-Jeśli to nagranie – oznajmił Walter Gripp – przyjadę tam i rozwalę ten lokal.

- To nie jest nagranie – oznajmił głos kobiety. – Halo? Och, halo, więc jednak ktoś żyje! Gdzie jesteś? – krzyknęła radośnie. Walter o mało nie zemdlał.

- To ty! – zerwał się z miejsca, wodząc wokół oszalałym wzrokiem. - Dobry Boże, co za szczęście! Jak się nazywasz?

- Genevieve Selsor – wyszlochała do słuchawki. – Och, tak się cieszę, że cię słyszę, kimkolwiek jesteś!

- Nazywam się Walter Gripp.

- Cześć, Walterze!

- Cześć, Genevieve!

- Walter, jakie ładne imię. Walter, Walter!

- Dziękuję.

- Walterze, gdzie jesteś? – Jej głos był taki miły, słodki i łagodny. Walter przyciskał słuchawkę do ucha, tak by mogła szeptać do niego czule. Miał wrażenie, że wzlatuje nad posadzkę. Jego policzki płonęły.

-Jestem w Marlin Yillage – rzekł. – Ja... Buuuuuu.

- Halo? – rzucił. Buuuuuu.

Nacisnął widełki. Nic.

Gdzieś wiatr musiał wywrócić słup. Genevieve Selsor zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Ponownie wykręcił numer, ale nie usłyszał żadnego sygnału.

- Przynajmniej wiem, gdzie jest. – Wybiegł z domu. Dniało już, gdy wycofywał samochód z obcego garażu, wypełniał jego tylne siedzenie prowiantem z domu i ruszał w drogę, pędząc osiemdziesiąt mil na godzinę trasą prowadzącą do Nowego Texas City. Tysiąc mil, pomyślał. Genevieve Selsor, czekaj spokojnie, jeszcze o mnie usłyszysz.

Na każdym zakręcie naciskał klakson.

O zachodzie słońca, po niewiarygodnym dniu szaleńczej jazdy, zjechał na pobocze, zrzucił ciasne buty, rozciągnął się na siedzeniu i zsunął szary kapelusz na znużone oczy. Po chwili jego oddech stał się miarowy, regularny. Na zewnątrz dął wiatr, gwiazdy świeciły łagodnie na ciemniejącym niebie. W dali, na błękitnych wzgórzach połyskiwały iglice maleńkiego marsjańskiego miasteczka, nie większego niż zwykła szachownica.

Walter leżał pogrążony w półśnie, półjawie. Szepnął:

- Genevieve! „O Genevieve, ma Genevieve” - zaśpiewał cicho – „upływa życie, płynie czas, lecz Genevieve, ma Genevieve...” – Nagle zrobiło mu się ciepło. Słyszał w głowie jej cichy słodki głos, nucący: „Halo, och, halo, Walterze! To nie jest nagranie. Gdzie jesteś, Walterze, gdzie jesteś?”

Westchnął, wyciągając rękę, aby dotknąć jej w blasku księżyców. Długie ciemne włosy, falujące na wietrze; naprawdę piękne. Usta jak dwie czerwone marmoladki. Policzki aksamitne niczym świeże wilgotne róże. I ciało, zwiewna przejrzysta mgiełka. Słodki głos zawodził, powtarzając raz po raz słowa starej, smutnej piosenki: „O, Genevieve, ma Genevieve, upływa życie, płynie czas...”.

Zasnął.

O północy dotarł do Nowego Texas City.

Zahamował z wrzaskiem przed Luksusowym Salonem Piękności.

Spodziewał się, że wybiegnie ku niemu w obłoku perfum, roześmiana.

Nic się nie stało.

 - Pewnie śpi. – Podszedł do drzwi. – Jestem! – zawołał. – Witaj, Genevieve!

Miasteczko drzemało w blasku dwóch księżyców, pogrążone w ciszy. Gdzieś daleko wiatr łopotał płócienną markizą.

Walter otwarł szeroko szklane drzwi i wszedł do środka.

- Hej! – Zaśmiał się niespokojnie. – Nie chowaj się! Wiem, że tu jesteś!

Przeszukał każdą kabinę.

Na podłodze znalazł maleńką chusteczkę do nosa. Pachniała tak pięknie, że o mało nie stracił równowagi.

- Genevieve – westchnął.

Wsiadł do samochodu i zaczął krążyć po pustych ulicach. Nic jednak nie dostrzegł.

- Jeśli to jakiś żart... Zwolnił.

- Chwileczkę. Rozłączyło nas. Może ona pojechała do Mar-lin Yillage, podczas gdy ja zmierzałem tutaj? Pewnie wolała stary morski szlak i minęliśmy się w ciągu dnia. Skąd mogła wiedzieć, że przybędę do niej? Nic takiego nie mówiłem. Kiedy telefon ucichł, przeraziła się tak bardzo, że pospieszyła do Marlin Yillage, aby mnie odszukać! Tymczasem ja przyjechałem tutaj. Na Boga, jakiż ze mnie głupiec!

Naciskając klakson, wyprysnął z miasta.

Jechał całą noc. Co będzie, jeśli po przyjeździe nie zastanę jej? - zastanawiał się.

Wolał nawet o tym nie myśleć. Musi tam być! On zaś podbiegnie do niej, obejmie i może nawet pocałuje w usta.

„O Genevieve, ma Genevieve”, zagwizdał, przyspieszając do stu mil na godzinę.

\* \* \*

O świcie Marlin Yillage była cicha i spokojna. W kilkunastu sklepach nadał płonęły żółte światła. Szafa grająca, od stu godzin odtwarzająca tę same melodię, ucichła wreszcie z trzaskiem, ustępując miejsca ciszy. Słońce rozgrzewało ulice oraz chłodne puste niebo.

Walter skręcił w Main Street, nie gasząc reflektorów. Zatrąbił sześć razy na jednym rogu, kolejne sześć na drugim. Zerkał na szyldy mijanych sklepów. Jego twarz była blada i zmęczona, ręce ślizgały się po mokrej od potu kierownicy.

- Genevieve! – nawoływał na pustych ulicach. Drzwi salonu piękności otwarły się gwałtownie.

- Genevieve! – zatrzymał samochód.

**Fragment 5.**

Genevieve Selsor stała w otwartym wejściu salonu, podczas gdy on biegł ku niej. W ramionach tuliła pudełko czekoladek. Palce, ściskające bombonierkę, były pulchne i blade. Wbiegając w plamę światła, Walter ujrzał jej twarz, krągłą i otyłą. Jej oczy przypominały dwa wielkie jajka, wetknięte w biały krąg chlebowego ciasta. Nogi miała grube jak pnie drzew; poruszała się, szurając nimi niewdzięcznie. Brązowe włosy o nieokreślonym odcieniu uczesała na kształt ptasiego gniazda. W ogóle nie miała warg; zrekompensowała to sobie, malując wokół nich wielkie, tłuste, czerwone usta, które to otwierały się z zachwytu, to znów zamykały z lękiem. Wyskubane brwi tworzyły cieniutką linię.

Walter zatrzymał się. Jego uśmiech zniknął. Stał bez ruchu, przyglądając się jej.

Nieznajoma upuściła bombonierkę na chodnik.

- Czy ty jesteś Genevieve Selsor? – Dzwoniło mu w uszach.

- A ty Walter Griff?

- Gripp.

- Gripp – poprawiła się.

-Jak się miewasz? – spytał opanowanym tonem.

-Jak się miewasz? – uścisnęła mu dłoń.

Jej palce lepiły się od czekolady.

\* \* \*

- Cóż... – rzucił Walter Gripp.

- Co takiego? – spytała Genevieve Selsor.

- Powiedziałem tylko „cóż” – odparł Walter.

- Ach tak.

Była dziewiąta wieczór. Przez cały dzień spacerowali po mieście. Na kolację przyrządził filet mignon, który jej nie smakował, bowiem był zbyt krwisty, toteż Walter przypiekł go bardziej i teraz okazał się zanadto wysmażony.

- Obejrzyjmy film! – zaproponował ze śmiechem.

Zgodziła się, obejmując poplamionymi czekoladą palcami jego łokieć. Jednakże interesował ją jedynie film z Clarkiem Gable sprzed pięćdziesięciu lat.

- Czyż nie jest zabójczy? – zachichotała. – No powiedz, nie jest zabójczy?

Film dobiegł końca.

- Puść go jeszcze raz -– poleciła.

-Jeszcze? – spytał.

-Jeszcze – odparła.

A kiedy wrócił, przytuliła się do niego, obmacując go lepkimi rękami.

- Wyobrażałam sobie ciebie nieco inaczej, ale jesteś całkiem miły – przyznała.

- Dzięki – odparł, przełykając ślinę.

- Och, ten Gable! – westchnęła i uszczypnęła go w nogę.

- Au! – krzyknął.

Po filmie ruszyli milczącymi ulicami po zakupy. Stłukła szybę wystawową i wyciągnęła z niej najjaskrawszą sukienkę, jaką tylko zdołała znaleźć. Wylała też sobie na głowę całą butelkę perfum, tak że wyglądała jak zmokły owczarek.

- Ile masz lat? – spytał.

- Zgadnij. – Ociekając perfumami, poprowadziła go naprzód.

- Trzydzieści – rzucił.

- Też mi! – odparła zimno. – Tylko dwadzieścia siedem. Wypraszam sobie!

- O, kolejna cukiernia! – zawołała po chwili. – Szczerze mówiąc, od czasu kiedy to wszystko wybuchło, miałam rajskie życie. Nigdy nie lubiłam rodziny. Byli głupi. Odlecieli na Ziemię dwa miesiące temu. Miałam lecieć za nimi ostatnią rakietą, ale zostałam. A wiesz, dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo wszyscy mieli do mnie pretensje. Teraz przynajmniej mogę przez cały dzień zlewać się perfumami, popijać piwo słodowe i zajadać cukierki. I nikt mi nie powie: „Uważaj, to ma zbyt wiele kalorii”. I oto jestem.

- Oto jesteś. – Walter przymknął oczy.

- Robi się późno – zagadnęła, patrząc na niego.

- Owszem.

-Jestem zmęczona – rzekła.

- To dziwne. Ja czuję się świetnie.

- Och! – westchnęła.

- Mam ochotę nie kłaść się przez całą noc – ciągnął dalej. – U Mike'a znalazłem naprawdę świetną płytę. Chodź, puszczę ci ją.

- Jestem zmęczona. – Zerknęła na niego jasnymi przebiegłymi oczami.

- A ja nie – odparł. – Dziwne.

- Chodź ze mną do salonu – poprosiła. – Chcę ci coś pokazać.

Poprowadziła go przez szklane drzwi do leżącego na środku wielkiego białego pudełka.

**Fragment 6.**

- Kiedy wyjechałam z Texas City, zabrałam to ze sobą. – Rozwiązała różową kokardkę. – No cóż, skoro jestem jedyną kobietą na Marsie, a tam czekał na mnie jedyny mężczyzna... – Uniosła pokrywkę i rozłożyła szeleszczącą warstwę cienkiej różowej bibułki. Poklepała materiał. – Proszę.

Walter Gripp patrzył bez słowa na zawartość pudełka.

- Co to jest? – spytał w końcu, wstrząsany dreszczem.

- Nie wiesz, głuptasie? Najbielsze koronki, delikatne i w ogóle.

- Nie, nie mam pojęcia co to.

- Niemądry! To suknia ślubna.

- Naprawdę? – wychrypiał.

Zamknął oczy. Jej głos był nadal słodki i melodyjny, tak jak wtedy przez telefon. Kiedy jednak uniósł powieki i spojrzał na nią, cofnął się o krok.

- Bardzo ładna – rzekł.

- Prawda?

- Genevieve... – Obejrzał się na drzwi.

- Tak?

- Genevieve, muszę ci coś powiedzieć.

**Fragment 7 – zakończenie**

- Tak? – Popłynęła ku niemu; jej pucołowatą twarz otaczał gesty obłok perfum.

- Chciałem jedynie rzec... – zaczął.

- Tak?

- Żegnaj!

I zanim zdążyła krzyknąć, wypadł za drzwi i wskoczył do samochodu.

Pobiegła za nim, stając przy krawężniku, podczas gdy on zawracał swój wóz.

- Walterze Griff, wracaj tu! – zawodziła, wymachując rękami.

- Gripp! – poprawił ją.

- Gripp! – wrzasnęła.

Samochód popędził milczącą ulicą, nie zważając na wrzaski i tupanie dziewczyny. Podmuch spalin zaszeleścił białą sukienką, którą ściskała w swych pulchnych rękach. Gwiazdy świeciły jasno, gdy samochód zniknął w głębi pustyni, pogrążając się w ciemności.

\* \* \*

Jechał bez przerwy przez trzy dni i trzy noce. Raz wydało mu się, że ściga go jakiś samochód. Zlany potem, dygocząc, skręcił na kolejny szlak, przemierzając samotne pustynie Marsa, mijając niewielkie martwe miasta; jechał tak i jechał przez tydzień i jeden dzień, póki w końcu od Marlin Yillage nie dzieliło go dziesięć tysięcy mil. Wówczas zatrzymał się w małym miasteczku Holtville Springs, gdzie znalazł kilka sklepików, w których mógł nocą zapalać światła, i restauracje, gdzie można siedzieć, zamawiając posiłki. Odtąd zamieszkał tam, zaopatrzony w dwie zamrażarki pełne jedzenia, które mogło starczyć mu na sto lat, i zapas cygar na dziesięć tysięcy dni oraz solidne łóżko z miękkim materacem. A kiedy od czasu do czasu w ciągu tych długich lat odzywa się telefon, Walter nie podnosi słuchawki.